№ 13 i 14. WARSZAWA, 21 CZERWCA 1919 R. 1

GWIAZDKA

DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

DODATEK DO „DRUŻYNY“.

Janek.

Idzie drogą mały Janek,
Niesie w ręku wielki dzbanek...
To nie dzbanek, to dwojaki,
W nich na obiad są ziemniaki.
Jest barszcz z kaszą jak potrzeba,
A do barszczu kawał chleba.
Hen, pod lasem widna łąka,
Tam tatulo kosą brząka.
Wyszedł z domu po śniadaniu,
Wczesnym rankiem o świtaniu,
Wróci późno na wieczerzę,
A pracuje, aż strach bierze,
Więc też zanieść mu należy
Kęs żywności zdrowy, świeży,
By pokrzepił siły strawą,
Idź-że, chłopcze, idź-że żwawo.
A w nagrodę, miły Janku,
Napachnącem spoczniesz sianku.

M. Dynowska.

Tatarzy.

Procesja w dzień Bożego Ciała wychodziła z kościoła w Sandomierzu. Piękne chorągwie powiewały przed księdzem, idącym pod baldachimem z Przenajświętszym Sakramentem; dzieci sypały kwiaty, a lud śpiewał: „Święty Boże, święty mocny!“

Wtem przez tłum począł przedzierać się dziesięcioletni może chłopiec, wołając:

— Tatarzy! Tatarzy!

Niejeden nie dosłyszał, co chłopiec mówił, inny popchnął, albo dał mu szturchańca i rzekł:

— Gdzie się tu wdzierasz, niecnoto!

Ale chłopiec nie zważał na nic, tylko przedzierał się dalej, wciąż wołając:

— Tatarzy! Tatarzy!

Aż przedostał się tam, gdzie ksiądz szedł, a nad nim nieśli baldachim czterej znakomici rycerze.



Sianokos.

Wtedy chłopiec pociągnął jednego z nich za połę i zawołał:

— Miłościwy panie, Tatarzy są tuż za lasem, pod miastem!

Rycerz ów, który się zwał Mikołaj z Baranowa, a był wielkim wojakiem, spojrzał bacznie na chłopca, potem zapytał:

— Skąd wiesz?

— Pasłem na łące krowę, a jak spostrzegłem ogromną ćmę Tatarów, zabrałem krowę i co tchu przybiegłem tutaj, żeby wam o tem nieszczęściu powiedzieć.

Chłopiec był opalony, w koszuli i majtkach podartych, ale patrzył bystro i znać było, że nie kłamie.

— Jak ci imię?—zapytał pan Mikołaj.

— Wojtuś od Walentego—odrzekł śmiało chłopiec. — Spieszcie się, panowie, bo Tatarzy blisko! dodał.

Pan z Baranowa szepnął coś trzem innym rycerzom, niosącym baldachim, a szepnął takze i księdzu.

Ksiądz stanął, wzniósł monstrancję do góry i głosem donośnym mówił:

— Ludzie kochani, nowe nieszczęście spada na nasze miasto. Tatarzy są blisko. Musimy przerwać procesję i wszyscy jak jesteśmy, iść na pokonanie nieprzyjaciela!

Zawrócił do kościoła, schował monstrancję, wziął krzyż w rękę i szedł, żeby przewodniczyć ludowi w odparciu napastników.

Ludzie wszyscy, jak byli, rozpierzchli się po domach. A że każdy w owym czasie miał broń, każdy też przypasał miecz, wziął łuk i wkrótce wszyscy zebrali się pod dowództwem Mikołaja z Baranowa.

Ksiądz uroczyście szedł naprzód z krzyżem w górę, a Wojtuś wskazywał drogę.

Wszyscy zaś śpiewali: „Swięty Boże, Swięty mocny, Swięty a nieśmiertelny!"

Kobiety tymczasem napełniały garnki gorącym popiołem, ażeby, gdy Tatarzy przyjdą, wysypać żar gorący na ich głowę i od napadu straszliwej dziczy się obronić.

Tatarów spotkali w lesie, już prawie pod samem miastem. I oto dzicy najeźdźcy, ujrzawszy wzniesiony krzyż, usłyszawszy pieśń, której dotąd nie słyszeli, czemprędzej zawrócili się i poczęli uciekać.

Kilku zaś z nich padło na ziemię i czołgając się do nóg idących, wołali:

— Nic wam złego nie zrobimy, tylko nie zwołujcie na nas ognia z nieba!

Na ten raz Sandomierz uchronił się od napadu Tatarów.

A było to w roku 1287.

Zuzanna Morawska.

Zajączek.

Żył sobie raz młody zajączek, bardzo młody, bo w marcu przyszedł na świat, a teraz zielone zboże stoi na pniu, liczył więc zaledwie parę miesięcy — to też był jeszcze bardzo głupiutki. Przednie zęby, jak zawsze gryzoniom, wciąż mu rosną, więc musi ogryzać twardsze przedmioty, by je ścierać, najczęściej korę z młodych drzew, na wiosnę bardzo smaczną. Prócz tego raczy się młodem zbożem, pączkami świeżemi i listkami, a za kapustą przepada! Chcąc wypocząć, grzebie sobie dołek płytki w miedzy, lub pod krzakiem.

Siedzi sobie zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą...

mówi piosenka.

Nasz młody zajączek właśnie smaczny młody owies zajada... Co pewien czas jednak nastawia słuchy, nadsłuchuje i rozgląda się, czy nic mu nie grozi.

Naraz coś zaszumiało; zajączek struchlał. Tuż nad nim, jak kula, ze zwiniętemi skrzydłami, wpada wielki jastrząb. Zając dał susa i pognał przed siebie. Biegnie szybko. Tylne nogi, dużo dłuższe od przednich, pozwalają mu na dalekie skoki. Jastrząb leci za nim. Zajączek raptem zwrócił się w bok, czyli jak mówią myśliwi „skluczył" i wyprzedził trochę napastnika. Ale jastrząb znów go dogania... Już obniża lot... już ma szpony wbić w grzbiet ofiary, gdy

wtem zajączek spostrzega stos chrustu i cierni. Uszczęśliwiony dobiega, kryje się w tej przystani. Jastrząb przypadł za nim, ale ostre kolce bronią zbiega. Zajączek jest uratowany!

Często zające wygrzebują sobie kotlinki pod jałowcem, którego igły tworzą pewną obronę i chronią od napaści. *M. Karasińska.*

Rybak.

Hen w dolinie stoi wioska,
Obok wioski rzeczka bliska,
A w wioseczce piękne domy,
A nad rzeką chatka niska;
A w chateczce ludzi grono:
Dzieci czworo, ojciec z matką,
Ojciec—rybak szedł na łowy,
Matka przędła tuż przed chatką.
A gdy wracał mąż z połowu
Zabiegały drogę dziatki
Ten za wiosło ten za sznury,
Inny ryby, inny siatki.
Każde pomoc ojcu niosło:
Czy przy wodzie, czy przy chacie;
Takie życie, jak rybaka,
Chyba mało jeszcze znacie.

Mgła już w górę hen ucieka.
Słońce wzbiło się nad człeka,
Już ogrzała się i woda,
Oj szkoda was, rybki, szkoda!
Tak pluskacie tu wesoło,
Takie roje was tu wkoło
Tak igracie tu w tej wodzie,
Jak jaskółki na swobodzie,
Którą z was dziś los naznaczył
I do sieci nam przeznaczył?
Która zwiśnie na haczyku,
Czy ty płotko, czy kiełbiku?
Oj, niech każda z was ucieka,
Kto w sieć wpada—śmierć go czeka!

Nie słuchały rybki wcale:
Szczupak hulał sam zuchwale
Różne figle w rzece płata,
Nawet połknął swego brata.
Okoń pyszny swą urodą
Skakał, pluskał ponad wodą;
Płotka w zielsku zamiast siedzieć
Chciała nowin się dowiedzieć
I płynęła przeciw prądu
Szukać wrażeń bliżej lądu.
A oklejki i kiełbiki,
Co są znane ich wybryki,
Zamiast trzymać się głębiny
Wypłynęły po przez trzciny
Zaniechawszy swej ojczyzny
Poszły grzać się na mielizny.



Na rybach.

Hejże dana, moja dana!
Rybak wstaje dobrze z rana
Mknie po bystrej gładkiej toni,
Trzyma wiosło w krzepkiej dłoni,
Pluska wiosłem w lewo w prawo
Łódka płynie równo, żwawo,
Tak, jak łabędź na jeziorze
Tak powierzchnię zgrabnie porze.

O tem wszystkiem wiedział rybak
Bo znał rybie on sekrety:
Durzył jedne, manił drugie
Nie żałował ich, niestety.
A pod wieczór, gdy słoneczko
Kryło tarczę rozpaloną
Rybak dążył do swej chaty
Niosąc torbę wypełnioną.

Co w niej było?—trudno liczyć,
Ciemne, srebrne, pozłacane,
Duże, małe, grube, cienkie,
Ostre. ślizkie, nakrapiane.
Różne ryby—coś dwie kopy,
Rybakowi oko świeci
— Nuże, żywo, do pomocy!
Będzie chlebek moje dzieci! —

Zakrzątały się dzieciaki,
A pracują bez przechwałki!
Jedne ryby na wieczerzę
Inne poszły do kobiałki,
Była zupa co się zowie!
Był i talar srebrno biały,
Będzie grosik, będzie chlebek
Na jutrzejszy dzionek cały!

Patrzy rybak—rad jest z siebie
Uśmiechniętą mając minę,
I rozmyśla, gdzieby jutro
Ruszyć z siecią na głębinę.

Ad. Chętnik.

Z moich pamiętników

Na łódce.

Że to mieszkałem w pobliżu rzeki, więc też i biegałem do niej po kilka razy na dzień: przed jedzeniem i po jedzeniu, rano i wieczorem, gdy nie miałem nic do roboty i wtedy również, gdy mi kazano młodsze rodzeństwo zabawiać. Najgorzej jednak nie lubiłem obierać, czyli jak u nas nazywano „skrobać“ kartofli; praca ta wydawała mi się tak nieznośną, że wyrzekałem się zupełnie obiadu i uciekałem do rzeki na cały dzień. Pod wieczór dopiero, gdy mi po kiszkach głód na rowerze jeździł, skradałem się po cichu do domu. Tu zdarzało się wtedy rozmaicie: jeżeli była mama, a do tego w złym humorze—dostawałem zwykle parę klapsów, potem zaś odgrzewany obiad. Lubiłem jednak nikogo wtedy w domu nie znajdywać. Odszukiwałem wówczas szczątki obiadu, zjadałem chciwie i kładłem się spać. Gdy mama przychodziła, ja spałem jak zabity, gdzie więc tam dobierać się komu do mojej skóry! Na drugi dzień mama miała pilniejsze sprawy i ja na tem wygrywałem na czysto.

Ale zapomniałem o rzece i łódkach. Otóż na Narwi było wiele łódek większych i mniejszych, wszystkie jednak były rybackie, zbite z kilku desek, lekkie i wywrotne.

Do łódek czułem specjalną słabość. W domu robiłem zawsze łódki z papieru, deseczek lub tektury, najwięcej strugałem ich nożem z grubej kory sosnowej. Po każdym deszczu łódki moje tworzyły flotę w rynsztokach i dołach ulicznych, napełnionych wodą. Rozumie się, że, chodząc nad rzeką, nie mogłem zachowywać się obojętnie względem stojących łódek. Korzystałem z każdej nieobecności rybaka, ażeby wejść na łódkę z kijem i, jeżeli nie popchnąć jej trochę z miejsca, to choć pobujać się na niej. Nie długo to jednak trwało.

—A będziesz mi tu nicponiu jeden wodę do łódki nalewał!—rozlegał się głos właściciela, a wtedy ja, a jeżeli byli, to i inni rówieśnicy, uciekaliśmy na ląd. Przy takiem uciekaniu nie mieliśmy zwykle czasu patrzeć suchego gościńca: skakaliśmy w wodę, maczając dolne części ubrania; brnęliśmy do lądu, a potem uciekaliśmy co nóg wystarczy. A było czego uciekać! Rybacy nietylko że niekiedy lubili wytargać za uszy, ale mieli inny brzydki zwyczaj: polewali wodą lub rzucali czapkę do wody. To też uciekając nawet, braliśmy czapki do rąk, ażeby jej nie zgubić w biegu i nie zostawić rybakowi. Nie wszyscy jednak rybacy byli tak źli, wielu z nich pozwoliło posiedzieć w łódce i pojeździć. A jeżdżenie było takie, że popychało się kijem łódkę w jednym brzegu, bo drugi był przywiązany do słupa. Największa jednak była uciecha, gdy rybak za drobne usługi brał którego chłopca ze sobą na łódkę i „jechał“ t. j. płynął na rzekę. Mnie podobną przyjemność spotkała kilka razy. Płynęłem wtedy daleko i zdawało mi się, że płynę conajmniej do Ameryki okrętem. Raz zabrali mnie ze sobą rybacy na wielką łódź niewodową, pomagałem wtedy przy układaniu sieci,

za co dostałem wtedy kilka ryb, długości jednej piędzi.

Nie wystarczało mi jednak z czasem takie pływanie z kimś. Zachciało mi się samemu kierować łódką i wiosłować. A czas był na to, bo miałem lat już dwanaście! Chodziłem też do rzeki zawsze prawie z długim kijem, bo o łódkę łatwiej niż o wiosło. U rzeki gramoliłem się sam lub z rówieśnikami na pierwszą lepszą, nie przyczepioną łódkę i — jazda po nad brzegiem! Popychaliśmy się kijami i płynęliśmy po niegłębokiej wodzie. Raz jednak nabawiłem się strachu. Wsiedliśmy w kilku do czyjejś łódki, pchnęliśmy się kijami i jazda! Płyniemy, aż miło, w kierunku biegu rzeki, tuż niedaleko od lądu. Trzeba jednak, że na naszą biedę prąd wody uniósł nas dalej na głębię. Kijami nie mogliśmy dna dostać, a inaczej płynąć nie umieliśmy. Ja pierwszy zobaczyłem że woda głęboka: pchnąłem się kijem, a ten poleciał, nie natrafiwszy na opór-

—„Gruntu" niema.—zawołałem rozpaczliwie. Rówieśnicy zauważyli to samo. Wszczął się na łódce lament i płacz.

—Ola Boga, co z nami będzie!—zawołał jeden.

—Potopimy się napewno!—krzyczał drugi.

— Popłyniemy aż do Gdańska — wołałem również, grzebiąc kijem po wodzie. Trzeba bowiem wiedzieć, żeśmy nie tylko lamentowali, ale i pracowali nad swoim ratunkiem. Garnęliśmy wodę kijami, ale napróżno. Nie znając bowiem sztuki wiosłowania, grzebaliśmy kijami każdy w swoją stronę, wskutek czego łódka choćby nawet chciała, to nie wiedziała kogo z nas ma się słuchać, i w którą stronę swój bieg skierować. Na lądzie zebrała się spora gromadka widzów, którzy śmieli się do rozpuku z naszej biedy. O ratunku nikt nie pomyślał. Dopiero właściciel łódki dopędził nas na cudzym czółnie i do lądu nas przyholował. Spodziewaliśmy się od niego tęgich wałów, ale na szczęście skończyło się na tem, żeśmy mu łódkę musieli oczyścić, z wody i błota oraz oddać kije, zastępujące nam wiosła. Naturalnie, zgodziliśmy się na wszystko z ochotą.

Pomimo częstych przygód nie zraziłem się do wody. Pokutowałem jednak za to od czasu do czasu i to nieźle nawet. Raz wypadłem z łódki głową na dół i nie wiadomo, co by zemną było, gdyby mnie nie wyciągnął z wody za nogę jeden z dorosłych chłopców. Co jednak miałem wtedy strachu! A szło mi o to: tego dnia włożyłem nowe ubranie, które mi moja mama sprawiła. Ponieważ było to uroczyste święto Bożego Ciała, więc po kościele poszedłem je uczcić na rzekę. Skąpawszy się jednak i zamoczywszy całe ubranie, nie wiedziałem co począć. Iść do domu,—znaczy iść po baty. Poszedłem więc na wzgórze nadrzeczne i tam, rozłożywszy się na trawie zdjąłem z siebie ubranie i suszyłem je na słońcu przez kilka godzin, aż do zmierzchu. Wieczorem poszedłem do domu w ubraniu, które chociaż nie było tak bardzo mokre, jednak wyglądało jak nie przymierzając flak. Według zwyczaju dano mi klapsa, na nieszczęście jednak przy tej operacji namacano na mnie wilgoć, potem przekonano się, że całe nowe ubranie jest „jak psu z gardła wyjęte"—jak mi mówiono. Nie pomogło suszenie na słońcu! Otrzymałem należytą zapłatę, ale w duchu byłem zadowolny:—tego dnia sam kierowałem łódką!

Dużo takich powyże opisanych i i innych przykrości doświadczyłem przez wodę i łódki. Ale starania moje nie poszły na marne. Nauczyłem się jeździć wszystkiemi łódkami, wiosłować deską lub kijem, albo zupełnie ręką tylko. Co się jednak namaczałem w ubraniu, ile nie jadłem obiadów, a ile razy potem skóra mię swędziła... to już lepiej nie wspominać.

Ad.

Jak to na Mazowszu.

Po szerokim polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie;
Nad wodą zgarbiony stoi dąb żylasty,
Kędy bielą płótno wesołe niewiasty.

Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze [polne;
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.

Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka,
Płynie łódź flisacka, jak szara cyranka*),
A za nią ładowne pszenicą galary —
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.

Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze,
I czysta tam woda, i powietrze zdrowsze!
I sosny roślejsze, i wiśnie kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.

Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką wodę cichą?
Gdzie tyle dziewanny, tyle w łąkach dzwon- [ków,
Tyle piosnek w polu, w powietrzu skow- [ronków?

Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku,
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce, moje serce do tych lasów goni
Do Wisły, do Wisły,—oj tęskno mi do niej!

T. Lenartowicz.

Koszulka Wojtka.

—Matulu, kupta mi koszulinę!—prosił Wojtek, jako że koszulkę miał już srodze połataną i przykrótką.

—Będziesz miał, synusiu, nowe koszuliny w zimie; już one tam za chałupą rosną.

Poszedł Wojtek za chałupę, popatrzył, ale prócz zagonków a gruszy nic nie zobaczył.

—Może kajsi w ziemniakach rośnie pomyślał i już chciał się zapuścić między gęste, zielone krzaki, gdy naraz ujrzał na ścieżce nieżywego kreta.

Zabawił się Wojtek kretem i o koszuli na długo zapomniał.

A tymczasem na zagonkach za chałupą porastał len. Jasnozielone wiotkie łodyżki o drobnych listkach unosiły się wciąż wyżej a wyżej nad ziemią.

Pewnego dnia, gdy przeszedł deszcz ulewny, a po nim przygrzało słonko, na wierzchołkach łodyg roztuliły się drobne, błękitne kwiaty.

Przedziwne one były: na noc stulały korony, zasypiając, rankiem otwierały znów niebieskie oczy do słońca.

Pewnego dnia, po obiedzie, wzięła matka wielką płachtę na plecy i poszła w pole.

—Matulu, co będzieta w polu robili?—wołał Wojtuś, dudniąc za nią po miedzy piętami.

—Będę ci koszuliny zbierała.

Usłyszawszy to, Wojtek puścił się za matką tak prędko, aż mu zbyt wielki kapelusz spadł na nos, skutkiem czego potknął się o kretowisko i upadł na kępę ostu.

Kiedyindziej byłby się chłopak rozbeczał, aż go na drugim końcu wsi było słychać, dziś jednak nie miał na to czasu.

Matula stała już schylona nad zagonem.

Podbiegł do niej Wojtek, przygląda się, ale nic jakoś owych koszul nie widzi. Matka wyrywa z ziemi cienkie, wysokie łodyżki lnu.

Kwiatków już na nich niema. Opadły, a na ich miejsce wyrosły zielone, a teraz już brunatniejące główki.

—Matulu, kaj tyz to te kosule?

—Wnetki je, synusiu, obacys.

Wyrwany i powiązany w pęki len rozstawiono po zagonkach, aby sechł.

Po kilku dniach zebrała go matka w płachtę, przyniosła do stodółki i kijanką od prania pootłukiwała owe szare główki. Z główek wysypały się lśniące, kształtu małych serduszek, nasiona, tak zwane, „siemię lniane“.

—Matulu, dajcie mi owych ziarnek do zabawy.

*) Gatunek dzikiej kaczki.

—Nie można, synku, schowam je, na wiosnę do ziemi posieję i znów len z nich wyrośnie.

Teraz zaniesiono len do rzeki. Rozłożyła go matka na dnie i przytłoczyła kamieniami, aby go fala nie zniosła.

Gdy len dobrze rozmókł, wyjęto go z rzeki i rozesłano na ziemi w ogródku, by wysechł.

Patrzył na to wszystko Wojtek i główiną kręcił, a po czuprynie się drapał. Jakoś mu się nie widziało, aby coś mogło być z tego.

Gdy len wysechł, wyniosła matka przed chałupę cierlicę i jęła lniane łodyżki kruszyć. Suche, zdrzewniałe części odpadały teraz na ziemię, a w rękach gosposi zostawała jeno miękka przędza.

Wkrótce potem zaczęło się kopanie ziemniaków; lnem nie miała matka czasu się zajmować, leżał więc sobie spokojnie na strychu, gdzie odwiedzał go tylko czasami Wojtek.

Pewnego dnia matka zniosła z góry przędzę i jęła ją na żelaznych grzebieniach czesać. Grzebienie wydzierały wszystkie twarde, splątane nitki, zostawały jeno błyszczące a mięciutkie.

Teraz matka z lnianych włókienek jęła skręcać palcami cienką niteczkę i nawijać ją wprawnie na drewienko, zwane wrzecionem.

Wojtek sterczał wciąż koło matki i wytrzeszczał szeroko oczy, ale jakoś nic onej koszuliny nie mógł dojrzeć.

Wreszcie pewnego dnia wzięła matka szare nici lniane, pozwijane na wielkie kłębki i zaniosła je do tkacza.

Ten rozsnuł nici na maszynie i zaczął je przeplatać równo, gęsto, jedna obok drugiej. Furczała maszyna, szczękały wielkie ramy z rozpiętemi na nich niby struny nićmi i snuł się szeroki, piękny pas tkaniny płóciennej.

Teraz dopiero Wojtek zrozumiał, jak to jego koszuliny rosły w polu.

Janina Porazińska.

O, DZIECIĘ!...

O, dziecię polskie! ucz się polskiej mowy.
Przeżywaj przeszłość, czuj sercem i duchem,
By nowych dążeń świat dziwnie tęczowy
Nierozerwalnym zespolić łańcuchem
Z tymi, co z serc swych kładli podwaliny
Pod dziejów spiżowe czyny.

Ojczysta mowa, to Westalka blada,
Strzegąca uczuć wiecznego płomienia,
Nie wietrzejąca w trwaniu wieków skała—
Na niej budować będą pokolenia;
To niemilknąca harfa Dawidowa;
To wierna ludom królowa.

Zofja Zacharkiewicz.

NA JAGODY.

WIERSZYK DO DOPEŁNIENIA.

Idzie Basia wczesnym rankiem,
Przez zagajnik idzie młody
I zielony niesie dzbanek,
Aby zbierać weń ......

—Witaj, Basiu! witaj, Basiu!
Słychać w koło szum radosny.
Pozdrawiają ją osiny,
Białe brzozy, smukłe .....

—Któż cię zbudził o świtaniu,
Gdy spać każdy ma ochotę?
—Śpiew mnie zbudził skowronkowy
I w okienku słonko .....

Idzie Basia leśną ścieżką,
Raz wraz schyla się ku ziemi.
Próżno się, jagódko, chowasz
Pod listkami ....

Każdą ujrzy, każdą zerwie,
Już dzbaneczka ma połowę.
Las, jagódek swoich broniąc,
Strąca szyszki na jej .....

Chłodną rosą liczko ziębi,
Kole w małe bose nóżki.
Lub jałowcem i jeżyną
Nagle jej zagradza . ....

Lecz to Basię nic nie smuci.
—Ej, ty borze, brzydki borze,
Przecież wszystkich twych jagódek
Basia zabrać ci nie ....

Zbiorę jeno ten dzbanuszek,
Więc się nie złość, mości lesie!
Idzie Basia, piosnkę śpiewa,
A wiatr w dal ją echem ......

Lublinianka.

ZAGADKI.

(podał Paweł Golis).

Bez słońca żyć nie mogę, wieczorem [umieram,
Jestem z dawna odźwiernym, śpiącym [oczy otwieram.

Jem nad miarę i piję, mam codzień za- [pusty,
Wtenczas mię śmierć zaskoczy, gdy już [jestem tłusty.

Kąsam, a nie połykam, pracują me zęby,
Innym daję kęs lepszy, a sobie otręby.

SZARADA.

Pierwsze-drugie ziele znane,
Często w kuchni używane—
Bywa w zupie, w sosie, w raku,
Wszystkiemu dodaje smaku.
Pierwsze-trzecie, to zwierz młody,
Na nim puszczasz się w zawody
Przez drogi, rowy, zagony,
W czas wakacji upragniony.
Wszystek, tego męża miano,
O którym to powiedziano:
„Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię,
Polskie wydało go plemię."

Rozwiązania zagadek i łamigłówek.

Rozwiązanie zagadki z № 7 „Gwiazdki"
Ziemniaki.

Rozwiązanie Szarady z № 7 „Gwiazdki"
Ko-szu-la.

Rozwiązanie zagadki z № 11 „Gwiazdki"
Wiatr.

Lew i myszka.

Ciekawe doświadczenie dokonano w Nowym Jorku w ogrodzie zwierzęcym

W jednej klatce umieszczono równocześnie lwa i myszkę. Lew dostrzegł mysz pierwszy i począł ją obserwować z ogromnem zainteresowaniem. Myszka rzuciła się do ucieczki, o ile jej na to małe nóżki pozwalały; w ślad za nią ruszył lew, starając się ją dogonić. Wyścig ten trwał kilka minut, przerywany od czasu piskiem przejętej strachem myszki. Po chwili udało się lwu złapać uciekające przed nim zwierzątko, ale uchwycił ją tak delikatnie, że nie wyrządził żadnej krzywdy, owszem nakrył ją lekko łapą, a następnie wypuścił. Powtorzył to jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem, z zajęciem przyglądając się myszce. Nagle myszka zmieniła swój sposób postępowania. Korzystając z chwilowej wolności przystanęła i jednym skokiem wstecz znalazła się na głowie swego przeciwnika. Lew zadrżał z trwogi i jak szalony począł biegać po klatce, rycząc przeraźliwie aż do chwili, gdy mysz zeskoczywszy z jego głowy, schroniła się w kąt klatki. Od tej chwili lew i myszka pozostali naprzeciw siebie, w najodleglejszych rogach klatki. Oboje pełni strachu przed sobą. Z nich obojga lew okazywał większy strach, aniżeli myszka. Później myszka zaczęła krążyć po klatce, wprawdzie zdala od lwa- podczas gdy lew wcale nie ruszał się z kąta, drząc na całem ciele.

Amator wilków.

Około roku 1840 — jak to pisarze nasi opisują w dobrach hrabiego Zamoyskiego żył gospodarz, przedtem gajowy, niejaki Łojek, któremu hrabia w czasie polowania cały kierunek obławy powierzał. Człowiek ten miał osobliwy wygląd: wzrok miał śledczy, że, zda się drzewa mógłby przenikać, do wilków czuł takie zamiłowanie, że często noce bezsenne spędzał wśród ich wycia. Łojek tak umiał dokładnie udawać głos wilków, że te na jego wycie zbiegały się zdaleka i, podchodziły blizko na odległość strzału; wtedy to Łojek mierzył z flinty w błyszczące ślepie i kładł zwierza na miejscu. Tym, którzy go o polowaniu zagadywali, odpowiadał:—„A cóżbym ja na świecie robił, gdyby wilków nie było?"

Redaktor: ADAM CHĘTNIK. Wydawca: Związek Kółek Rolniczych.